

PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

Tadeusz Krysztofiak

MOJE WSPOMNIENIA Z WYKONYWANIA PRACY NIEWOLNICZEJ W CZASIE OKUPACJI NIEMIECKIEJ NA TERENIE WARTHEGAU

W obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Niemiec mieszkańcy Gostynia i okolic włączyli się aktywnie do akcji mających na celu przygotowanie się do obrony Ojczyzny. Pamiętam, że rozpoczęto szkolenie członków Związku Harcerstwa Polskiego do służb sanitarnych, powołano oddziały Terenowej Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej – tak zwane Komitety OPL. Rozpoczęto zbieranie dobrowolnych składek w szkołach i wśród społeczeństwa na cele wojenne. Przygotowania obronne nabrały jawnego charakteru. Ludność Gostynia na wezwanie władz przystąpiła do kopania rowów przeciwlotniczych i przeciwczołgowych. Nas w szkołach podstawowych w tym czasie uczono posługiwania się maską przeciwgazową i zachowania w razie użycia gazu trującego przez wroga.

Gostyń był w 1939 roku oddalony od granicy polsko-niemieckiej około 38 km. To teren przygraniczny i bezpośrednio zagrożony atakiem niemieckim. A przecież Niemcy zbierali przed wojną wszelkie informacje z każdej dziedziny, a w szczególności wojskowej i przekazywali je do Rzeszy. Mniejszość niemiecka na naszym terenie to około 3,8% ogółu mieszkańców. Gostyń i powiat gostyński ostatecznie zostały zajęte przez wojska niemieckie 6 września 1939 roku. Już od pierwszego dnia okupacji przystąpiono do ograniczenia swobód Polaków, wprowadzając między innymi godzinę policyjną, zakaz słuchania radia, bezwzględny nakaz złożenia wszelkiej broni i amunicji. Okupanci brali zakładników: 10 Polaków

– mężczyzn różnych zawodów (później nawet 20). W razie gdyby ktoś z mieszkańców Gostynia odważył się zrobić krzywdę Niemcowi, to według prawa wojennego 10 przetrzymanych zakładników zostałoby rozstrzelanych. Zatrzymani przebywali 24 godziny w areszcie, a następnie powoływano nowych.

Miałem wtedy 12 lat. Wojna zastała mnie na terenie miejscowości Głogówko. Mieszkałem 35 metrów od klasztoru świętogórskiego. Jako półsierota wychowywałem się u rodziców mojej mamy. Ojciec zmarł w 1928 roku i mama została zmuszona do wyjazdu w poszukiwaniu pracy na innych terenach Polski. Znalazła ją w miejscowości Rabka, w województwie małopolskim. Pracowała tam jako wychowawczyni dwojga małych dzieci, u rodziny, która jej wypłacała comiesięczne wynagrodzenie w gotówce, potrącając za utrzymanie. Pieniądze wysyłała dziadkom na moje potrzeby bytowe: żywność, odzienie i inne. Wyjechała tam w 1935 roku i jeden raz w roku przyjeżdżała na trzy tygodnie. Poza tym łączność bywała głównie listowna. To wszystko jednak nie zastępowało mi codziennego kontaktu z mamą. Sam nieraz w ciszy pytałem siebie, dlaczego ja nie mam ojca i mamy przy sobie jak inne dzieci w rodzinach? To jeszcze bardziej potęgowało moją miłość i tęsknotę za mamą.

Mama moja przebywała w Rabce od 1935 roku do 1945 roku. Ten obszar Polski nazywany był przez Niemców Generalgouvernement – Generalne Gubernatorstwo. Dodać tu należy, iż rodzicielka starała się u władz niemieckich o przyjazd do Gostynia, uzasadniając swe starania tym, że ma dziecko małe do wychowywania, które jest pod opieką swych dziadków. Prosiła także o pozwolenia na mój przyjazd do niej. Jednak starania nie dały pozytywnego rezultatu. Niemcom przecież chodziło o to, aby rozdzielić matkę i syna. To była celowa, przemyślana, okupacyjna „robotą” przeciw Polakom. Prześladowano nas na każdym odcinku życia. To była pierwsza krzywda wobec mojej rodziny w czasie okupacji niemieckiej. Pozostało to we mnie do końca życia.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się z ogłoszenia niemieckiego burmistrza Gostynia, że każdy mężczyzna i kobieta zdolni do pracy, od czternastego roku życia zobowiązani są do jej wykonywania. Wobec tego powinni zgłosić się do miejscowego Arbeitsamtu, przez który zostaną skierowani do pracy w zakładach pracy lub na rolę. Uchylającym się od pracy i zgłoszenia w tym urzędzie groziła surowa kara. Pamiętam, że kierownikiem wymienionego urzędu była Niemka nazwiskiem: Leimann. Surowa i arogancka wobec zgłaszających się Polaków. Obok jej biura siedział niemiecki policjant. 18 lutego 1942 roku otrzymałem z Arbeitsamtu skierowanie numer 8880 i w ciągu 24 godzin musiałem zgłosić się do wskazanego zakładu pracy.

Moim miejscem skierowania okazała się nowo powołana Gaufeuerweherschule bei Gostingen, Warthegau, czyli Wojewódzka Szkoła Pożarnictwa w Gostyniu. Mieściła się ona w klasztorze na Świętej Górze. Do tej szkoły należały ogrody i pola wraz z zabudowaniami gospodarczymi, magazynami i budynkami mieszkalnymi. Skierowano mnie jako robotnika do pracy w ogrodzie i w magazynach sprzętu przeciwpożarowego. W wyznaczonym dniu i godzinie stawilem się w biurze Hausmeistra nazwiskiem W. Burczyk. Był to Niemiec, który odpowiadał za pracę Polaków i kierował ich na stanowiska pracy. Bardzo dobrze rozumiał on język polski.

Pytania, które mi zadawał, dotyczyły tego, czy jestem Polakiem i czy jestem zdrowy. Odpowiedziałem twierdząco. Niemiec wypełnił kartę pracy na moje nazwisko. Surowo zaznaczył, że mam pracować sumiennie i uczciwie. Dodał, iż obowiązywać mnie będzie nieograniczony czas pracy (8-9 godzin dziennie), dyżury niedzielne i świąteczne. Zostałem więc robotnikiem rolnym w ogrodzie, gdzie znajdowała się oranżeria i piec do jej ogrzewania w okresie jesienno-zimowym. Miałem w nim palić. Dodatkowo pracowałem przy załadunku i wyładunku w magazynie sprzętu przeciwpożarowego. W tym ogrodzie pracowało dwóch chłopców – ja i kolega, Marcin Głowacki, o rok starszy ode mnie. Mieszkał opodal tej szkoły, o pół kilometra, na tak zwanym Nadolniku.

I tu wkradał się w człowieka bunt i żal, że niedzieli nie ma, a praca niewolnicza miała zastąpić dzień wypoczynku. Przykre to było, ale żyło się tą nadzieją, że kiedyś to się skończy. Do moich obowiązków należało także wożenie taczka węgla i koks na opał. Musiałem czyścić piec i pilnować, aby był płomienny ogień do utrzymania odpowiedniej temperatury. Niemcowi W. Burczykowi podlegali pracownicy ogrodowi: siedem kobiet, dwóch stajennych (utrzymywano dwa konie zaprzęgowe). Dziesięć kobiet pracowało w kuchni (gotowanie jedzenia i przygotowanie go). Byli też zatrudnieni ślusarze, stolarze, palacze kotłowi, razem pamiętam było wszystkich 60 Polek i Polaków.

Praca w ogrodzie była pozytywna na tyle, że w lecie zjadało się owoce, marchew i inne warzywa, które żołądek głodny zaspokoili, bo przydziały chleba, marmolady i mięsa były niewystarczające dla człowieka. A co dopiero dla młodego chłopaka po całodziennym wysiłku fizycznym, w większości na powietrzu. Normalny to objaw – apetyt wzrastał, a chleb był tylko w wyobraźni. Po pracy w domu najczęściej jadło się zupy z ziemniaków, płatki owsiane, a chleb widziałem tylko od święta. Braki były też w obuwiu i odzieży. Wszystko przecież wydzielano w terminach. Najgorsza była jesień i zima. W tym czasie znajomi szewcy i krawcy czasem pomagali w tych to sprawach – coś za coś, na przykład za chleb, papierosy i inną żywność.

Nadszedł rok 1944 i siła niemiecka słabła na wielu frontach w Europie. Dlatego każdy zakład niemiecki zobowiązany był czasowo oddać

wyznaczona liczbę robotników – Polaków do kopania rowów obronnych i innych prac, jak na przykład budowania drucianych zasieków. I mnie spotkał ten los, iż zostałem skierowany z mego miejsca pracy na Einsatz – zaciąg.

Wywieziono nas transportem kolejowym (wagony bydłce i transportowe) do Długich Starych koło Leszna. W czasie wojny miejscowość ta nosiła nazwę Alt Laube. Zakwaterowano nas w byłej owczarni, bo wówczas nie było owiec. Spaliśmy na słomie, a posadzka była betonowa. Wszystkich nas było około 80 mężczyzn w różnym wieku – od lat 16 do 70. Niemcy umieli dobrze organizować wszelkie zgrupowania Polaków. Pilnowali nas komendant i grupowi (wszyscy Niemcy), a jednocześnie gonili do ciężkiej pracy. Kopaliśmy rowy strzeleckie i przeciwczołgowe, które były głębokie na ponad 3,5 metra, a w dolnej części miały 80 cm. O ile było mi wiadomo, to tym transportem kolejowym przywieziono blisko 1560 osób, którymi byli mężczyźni z powiatu gostyńskiego. Resztę osadzono w innych sąsiednich wsiach.

Rowy strzeleckie i przeciwczołgowe oraz zasieki wykonywano w kierunku i w okolicy Wschowy, dokładnie i zgodnie z planami-mapkami. Prace te prowadziła niemiecka firma z Leszna Baugeschäft VI-4 Olulich, pod nadzorem wojska, które to stale było obecne na tym terenie. Prace rozpoczynały się o godzinie 6.00 i trwały do wieczora – około 11-12 godzin na dobę, bez wolnych dni. Każdy dzień zaczynał się od apelu przed komendantem Einsatzu. Był to wysoki rangą oficer wojskowy, który odbierał ten apel od grupowych Niemców, a każdy z nich miał grupę Polaków, po około 50, którzy mu podlegali. Śniadania i kolacje były we własnym zakresie. Obiad przywozili na miejsce pracy polowymi kuchniami wojskowymi. Każdy z nas posiadał swoje naczynia i łyżkę do jedzenia. Otrzymywaliśmy pół litra zupy, nieraz niedogotowanej, czasem kawałek chleba do tej zupy, ale nie zawsze. Zupa w większości była z marchwi, buraków, kapusty i trochę w niej ziemniaków pływało. Mięsa zaś w niej nie było. Co sobotę każdy otrzymywał bochenek chleba pszennego i pół bochenka chleba zwykłego, do tego trzy łyżki stołowe marmolady i porcję smalcu (jedna kostka na trzy osoby) oraz sześć sztuk papierosów marki „Tonga”. Nazywaliśmy je „gwoździami do trumny”, bo były bardzo silne, lecz wydajne, bo po ćwiartkowaniu można z nich było zrobić 12 sztuk, a to dawało długie palenie. Przydzielano nam też raz w miesiącu pół litra wódki na trzy osoby. Przy każdym takim przydziale podkreślano, że racje żywnościowe są duże, bo pracujemy dla obronności III Rzeszy i władza niemiecka za to nam się odwdzięcza. Raz po raz nawet nas pochwalono, ogólnie wszystkich, że dobrze pracujemy.

Pracowałem tam od 12 sierpnia do 1 października 1944 roku. Później kazano mi się zgłosić do Arbeitsamtu w Gostyniu, a tam się miałem dowiedzieć, gdzie będę dalej zatrudniony. Zaznaczono przy tym, że w razie niestawienia się zostaną doprowadzony przez policję i odpowiednio surowo

ukarany. Jadąc do Gostynia, dowiedziałem się, że w lasach starogostyńskich i golskich, dwa kilometry od Gostynia, powstał Feldmunitionslager Kahlenhof bei Gostingen, czyli Polowy Magazyn Amunicji w Goli koło Gostynia. Dla zachowania tajemnicy wojskowej nie używano pełnej nazwy, lecz tylko zwrotu „Femula”. Tak mieliśmy zaznaczone w przepustce ze zdjęciem, ostemplowanej pieczęcią i z odciskiem palca wskazującego. Każda przepustka miała swój numer. Dodać wypada, że kopania rowów jeszcze nie zakończono, a wybrano nas – 30 młodych mężczyzn – i to z okolic Gostynia. Bardzo to nas zaciekało. Różne przychodziły do głowy pomysły. Po przybyciu do Arbeitsamtu w Gostyniu, gdzie czekały już napisane skierowania imienne, niemiecki urzędnik wręczał każdemu przybytemu to skierowanie do składnicy, zaznaczając, że należy niezwłocznie udać się do biura „Femuli”, które mieściło się w Otówku koło Goli.

Udałem się niezwłocznie pod wskazany adres ze znajomym Józefem Skołozdrzychem z Piasków. Biuro było dwupokojowe, ściany pomalowane. Na jednej z nich wisiał portret Adolfa Hitlera. Za biurkami siedziało dwóch oficerów i jeden podoficer – tłumacz. Weszliśmy do tych pomieszczeń, zdejmując czapki i mówiąc po polsku: „Dzień dobry”. Odpowiedział tylko tłumacz. Następnie stojąc, słuchaliśmy wytycznych niemieckich oficerów, które to wypowiedzi dosłownie były tłumaczone na język polski. Zapamiętałem słowa, że skierowano nas do Wojskowej Składnicy Broni i Amunicji i od tej chwili obowiązuje nas ścisła tajemnica, a za zdradę grozi kara śmierci. Zabroniono nam opowiadania komukolwiek, nawet najbliższemu, co tu się znajduje. Obowiązuje sumienna, uczciwa praca i ostrożność. Mieliśmy pracować także w niedziele i święta, także wieczorami i w nocy, gdy zajdzie taka potrzeba. Kazano nam te wytyczne własnoręcznie podpisać, po czym odcisnięto każdemu wskazujący palec prawej ręki. Zrobiono nam jeszcze fotografie z profilu i przyklejono je później na karty personalne. Zdjęcia wykonywał wojskowy fotograf. Następnie wydano każdemu przepustki z naklejonym zdjęciem wraz z ochroną metalową, aby się nie zniszczyły. Teraz kazano nam się udać do lasu, każdemu osobno i zameldować się u oficera,

Ze wspomnianym wyżej kolegą udaliśmy się na wskazane miejsce. Nasza ciekawość była wielka, co tam zobaczymy. Przyjął nas niemiecki oficer z surowym wzrokiem i zapytaniem, czy nie mamy nic w kieszeniach, na przykład broni i noży. Gdyśmy mu powiedzieli, że nie, zawołał uzbrojonego wartownika. Po chwili przyszedł jeszcze jeden uzbrojony w karabin wartownik i zostaliśmy mu przekazani. Od tej chwili jemu podlegaliśmy. Każdy wartownik pilnował 12 Polaków przez cały dzień pracy. Nasz szef nazywał się Karol Gede i pochodził z Opola. Władał językiem polskim dość poprawnie, z czego moja grupa się wielce cieszyła, choć – jak twierdził – nie wolno mu było nic rozumieć. Podano nam do wiadomości, że od jutra

praca zaczynać się będzie o godzinie 7.30, a wcześniej odbędzie się apel przed dworcem, jak tylko odjadą pociągi. Przyjazd pociągów z kierunku Leszna i Jarocina był o godzinie 6.30. Tak jak zapowiedziano, pierwszy apel odbył się następnego dnia.

Przyjmował go oficer niemiecki o surowym wyglądzie. Apel wyglądał następująco: nas mężczyzn ustawiono w dwuszeregu, następnie było odliczanie do dwóch, po czym wyczytywano imiennie obecnych. Później niemieccy wartownicy składali raporty przed komendantem. W końcu każdy wartownik stawał przed swoją dwunastoosobową grupą, łądownał broń i nasadzał bagnet na karabin. Następnie przemawiał komendant, twierdząc, że tu obowiązuje dyscyplina tak jak w wojsku i nie ma żadnych usprawiedliwień. Przypominał po raz któryś o tajemnicy służbowej, o uczciwej, sumiennej pracy i ostrożności. Podał też, że praca będzie trwać nie wiadomo jak długo, gdyż w każdej chwili mogą nadejść transporty broni, które trzeba szybko wyładować, a inną załadować. Utworzono więc grupy załadunkowe i wyładunkowe.

Skierowany zostałem do grupy wyładunkowej. Przydzielono nam osiem traktorów z przyczepami, którymi wożono ładunki do lasu i przywożono inne na wagony. Jak wynikało z raportu, pracowało tu 120 robotników. Praca trwała w niedziele i święta. Była ciężka i niebezpieczna. Żywić mieliśmy się we własnym zakresie. Otrzymywaliśmy tylko w okresie zimowym ciepłą kawę dwa razy dziennie. Bony żywnościowe dawano nam jako ciężko pracującym, to znaczy, że otrzymywaliśmy o jeden bochenek chleba więcej niż na normalny bon, pół kilograma marmolady i pół kostki smalcu oraz jedną paczkę papierosów. Sama zaś składnica była opłotowana. Wszędzie wisały tablice ostrzegawcze „Wstęp zabroniony, teren wojskowy”, „Wejście grozi śmiercią”. Żołnierze pilnowali cały las, co 100 metrów stał jeden wartownik uzbrojony, z bagnetem na karabinie.

Drugiego dnia mej pracy do składnicy nadeszły transporty z ładunkami bomb lotniczych, które znajdowały się w drewnianych skrzyniach. W tym transporcie były też granaty, naboje karabinowe, miny talerzowe, pistolety i karabiny – właściwie to, co wchodzi w skład uzbrojenia wojska. Transporty te nadchodziły późnymi godzinami wieczornymi, a nawet w nocy. W czasie wyładunku lub załadunku na traktory niesiono przyciemnione lampy bateryjne, lecz przy tym oświetleniu ciężko było pracować i często zdarzały się skaleczenia rąk. W lesie były wyrąbane odpowiednie aleje, tak zwane dukty do wjazdu i wyjazdu traktorów z przyczepami. Co 30 metrów znajdowały się „sztaple” – stoiska, na których ustawiano, do wysokości trzech metrów, skrzynie z bombami lotniczymi i innymi ładunkami. To wszystko było składane na podkłady betonowe. Całość okopywano rowkami do spływu wody deszczowej. Na takim stanowisku mieściło się 350-400 bomb. Taki „sztapel” był przykryty od góry do dołu płachtą przeciwdeszczową i zamaskowany zielonymi gałęziami, takimi jakie rosły w tym miejscu

składowania. Każda taka aleja miała zaś nazwę, na przykład: Adolfa Hitlera, marszałka Hermanna Göringa. Tych miejsc składowania („sztapli”) co dzień przybywało, a najwięcej, kiedy ruszyła ofensywa Armii Czerwonej.

Pamiętam, kiedy na wyboistej drodze ze stacji kolejowej do lasu spadła bomba lotnicza z przyczepy ciągniętej przez traktor. Była to bomba zapalająca. Miała wewnątrz kilkadziesiąt małych połączonych bombek. Razem z dwoma kolegami zgarnęliśmy wszystkie części bomby, bo wymiarowa składała się jakby z dwóch części: spodu i przykrycia, była skręcona śrubkami, a jej obudowa to cienka blacha. Niemcy bardzo bali się takich wypadków, puciekali natychmiast do rowów przy drodze i na głos wołali: „Achtung, Achtung!”. Zdarzyło się kilka podobnych wypadków, lecz my nie zdawaliśmy sobie sprawy, co mogło się wówczas stać. To było zaś wielkie niebezpieczeństwo. Mogła nastąpić eksplozja i z nami koniec! Po tym wypadku niemiecki saper obejrzał bombę i stwierdził: „Mogliście frunąć do nieba...”. Bomba została usunięta i wycofana z transportu. Nas wszystkich przesłuchiowano, spisano protokół, wcześniej sprawdzono, czy to nie celowy wypadek nazywany sabotażem. Jednak tylko na tym się skończyło. Odetchnęliśmy z ulgą.

Transporty nadchodziły coraz częściej. Praca stawała się cięższa. Dokuczał mróz, a i siły ludzi powoli się wyczerpywały. Z każdym dniem Niemcy stawali się jakby mniej surowi. Pamiętam, że zaczęli z nami rozmawiać po polsku i mówili, że nieprzyjaciół czyni wielkie postępy i pewno tu niedługo nadejdzie, ale tylko do granicy z 1939 roku, bo Niemcy są silne i na tereny III Rzeszy wroga nie wpuszczają, a nawet jeżeli nieprzyjaciół wejdzie, to każde ich miasto stanie się twierdzą.

21 stycznia 1945 roku rozpoczęły ewakuację niemieckie urzędy w Gostyniu. W następnych dniach także cywile z miasta i okolicy zaczęli uciekać na zachód w kierunku Leszna, z całym dobytkiem załadowanym na samochody, wozy konne, a nawet wózki ręczne. Ucieczka ta odbywała się w sposób zorganizowany. Nad torbami uciekinierów czuwali uzbrojeni żołnierze. Pilnujący nas w lesie Niemcy zaczęli być smutni. Było to widać po ich minach. My – polscy pracownicy przymusowi – cieszyliśmy się z tego i wstępowała w nas nadzieja, że to zbliża się koniec naszej ciężkiej, mozolnej pracy. Ale starsi wiekiem Polacy twierdzili, że może być z nami jeszcze różnie. Nawet nieraz mówiono, iż mogą nas wysadzić w powietrze razem z bombami albo rozstrzelać, by nie było żadnych świadków po składnicy. A więc w nutkę nadziei wkraść się niepokój, a nawet smutek, w szczególności pośród nas, młodych niedoświadczonych ludzi.

W tym „magazynie śmierci”, jak nazywano potocznie w naszych domach i rodzinach „Femule”, panowały jednak cały czas ład i dyscyplina. Coraz częściej zjawiał się komendant z jakimiś dokumentami i rozmawiał z naszymi wartownikami, to też miało jakiś cel. 24 stycznia 1945 roku ustały

przyjazdy transportów kolejowych z bronią. Wyznaczono grupy po czterech Polaków, którzy do każdego „sztapla” wkładali ładunek wybuchowy (do środka stoiska). Traktor z przyczepami ten materiał rozwoził. Były to ciężki kartony oraz jedna metalowa puszka, także dość ciężka (około trzy kilogramy). Takie cztery kartony i jedną puszkę wkładaliśmy do stoiska, a dwóch minerów – Niemców łączyło to z izolowanym drutem, który rozwoziła inna grupa. Wszystko zostało podłączone do głównego włącznika, prawdopodobnie takich włączników było w całym lesie pięć, jak stwierdzali to później inni koledzy, skierowani do wykopania odpowiednich do tego szczelin. Każda z nich była głęboka na trzy metry i szeroka na około dwa metry. W każdej takiej szczelinie został zainstalowany telefon polowy. Po tych czynnościach zebrano wszystkich Polaków na głównym dukcie, gdzie czekaliśmy na przyjazd komendanta. Przyjechał po 10 minutach oczekiwania. Wojskowy samochód zatrzymał się jakieś 100 metrów od nas. Siedziała w nim także kobieta i dwoje dzieci w wieku 3-5 lat. Była to prawdopodobnie rodzina komendanta. Po chwili odezwał się do nas, że rozkaz był inny, lecz oni nie wysadzają ludzi w powietrze. Tak dosłownie krzyczał po polsku na cały głos. Nasz wartownik, Karol Gede, powiedział: teraz uciekajcie z lasu w kierunku północnym, na ucieczkę macie 10 minut. Ponadto kilku wartowników wystrzeliło w powietrze na postrach.

Uciekaliśmy na pola w kierunku Pożegowa. W tym miejscu zaznaczyć trzeba, że przed wiaduktem kolejowym była przedwojenna leśniczówka, w której teraz mieszkał komendant z rodziną. Jeszcze tak szybko nie biegłem. Nie czułem żadnego zmęczenia, choć serce waliło jak młot. Krzyczeliśmy na głos z radości – jesteśmy wolni, uratowani. Działo się to około godziny trzeciej nad ranem. Tym tempem biegliśmy niemal dwa kilometry i nagle usłyszeliśmy wielki huk. Czerwono-granatowa łuna uniosła się wysoko, zrobiło się tak jasno, iż można by czytać gazetę lub książkę. Siła wybuchu powaliła nas na ziemię. Do domu dotarłem około godziny 4.00, a było to cztery kilometry od lasu. Usłyszałem cztery takie wybuchy. Gdy wszedłem do domu, zastałem rodzinę modlącą się za mnie na klęczkach, bo wszyscy wiedzieli, gdzie się znajduję. Słyszając te huki i widząc łuny, przypuszczali, że więcej mnie nie zobaczą. Praca niewolnicza w okresie okupacji niemieckiej pozbawiła mnie wolności, dzieciństwa, młodości i nauki...

Natychmiast po ucieczce Niemców wkroczyli do lasu radzieccy saperzy, którzy rozbili resztki materiałów niebezpiecznych dla otoczenia. Później przyjechali tu żołnierze polscy z Wrocławia. Ponownie wydobyto i rozbijono bomby i pociski. Ale pozostało ich tam jeszcze sporo. Na ich trop wielokrotnie natrafiali pracownicy leśni i przypadkowi ludzie.